

„Oto ja, poślij mnie” (Iz 6, 8)

Z prymicjanem, o. Marcinem Kowalewskim CMF, rozmawia Krystian Głoński

Wiele osób mówi o Tobie, że jesteś wielkim optymistą. Czy tak jest w istocie?

Staram się być sobą, a ponieważ ufam Bogu, życie układa mi się – wierzę, że według Jego planu. Jestem człowiekiem szczęśliwym, a to wiąże się chyba z optymizmem. Spełniam się w tym, co robię.

Czy kończąc szkołę muzyczną I i II stopnia, nie miałeś dylematów, czym się w życiu zająć? W jaki sposób usłyszałeś głos samego Boga?

Dylematy oczywiście były. Myślałem sobie: po co tyle lat uczyłem się gry na instrumentach, skoro teraz idąc do zakonu, miałbym to wszystko zostawić? Okazało się jednak, że Pan Bóg pomógł mi połączyć moje zainteresowania z Bożą służbą. Byłem więc organistą w klerykacie, mogłem ubogacać muzyką różne kościelne uroczystości grając w różnych zespołach muzycznych.

Po średniej szkole muzycznej dościsłaś się na Akademię Muzyczną do klasy puzonu. Nie szkoda Ci było rezygnować z niej?

Nie zdawałem tam nawet egzaminów. Powiedziano mi po prostu, że jestem przyjęty. Ciężko mi było informować innych o mojej decyzji, jednakże wiedziałem już, że nie jest to moja droga życiowa. Profesor, u którego pobierałem nauki, był szczęśliwy, że jego uczeń będzie się kształcił na Akademii. Zawiódł się chyba potem. Ja jednak już na pół roku przed maturą byłem myślami zupełnie gdzie indziej.

Miewałeś kryzysy związane z wyborem drogi życiowego powołania?

Przez te 8 lat w seminarium miałem różne kryzysy. Zastanawiałem się nad wieloma sprawami. Nigdy jed-

nak nie miałem kryzysu powołania, żeby nie wiedział, czy to jest właściwa droga. Tego byłem pewien.

Który okres życia zakonnego określiłbyś jako najtrudniejszy?

Na pewno dwa piękne lata spędzone w Krzydlinie – postulat i nowicjat – były ciężkim okresem w moim życiu. Postulat był chyba cięższy, bo ze swoimi marzeniami i pragnieniami musiałem wejść w zwyczajne szare życie.

Zawsze jawiłeś się człowiekiem bardzo aktywnym, w zakonie zaś musiałeś się wyciszyć...

To prawda. Wcześniej byłem zaangażowany w różnych zespołach, bywałem wciąż w wielu miejscach, a w postulacie nie było możliwości dla zbyt wzmożonej aktywności. Przełożeni mieli swoje wymagania, uświadamiali, że powinienem się bardziej skupić na modlitwie. Ja z natury swej jestem raczej głośny, żywiołowy, a to w formacji zakonnej nie jest pomocną cechą, więc moje pierwsze kroki na drodze realizacji powołania kapłańskiego były dość trudne.

Jak środowisko parafialne oddziaływało na Twoją wiarę?

Pamiętam, że kiedy zostałem ministrantem – a było to za księży jezuitów – plebania była zawsze otwarta. Po Mszy św. można było przyjść na herbatę, spotkać się z innymi, pograć w ping-ponga. Plebania tętniła życiem, a nas było dużo. Pamiętam księdza Prażaka – jego postawę i skupienie na modli-

twie, był dla mnie prawdziwym autorytetem. Także księdza Waldemara Kocendę, który jest teraz ojcem duchownym w Henrykowie. To naprawdę Boży kapłan.

A jak dowiedziałeś się o św. Antonim Marii Klarecie?

Mój starszy kolega z parafii, Łukasz Przybyło, obecnie przełożony nowicjatu w Krzydlinie, powiedział mi o klaretynach, którzy organizują re-kolekcje powołaniowe. Rodzice wyrazili zgodę na mój wyjazd. Zjechali się chłopcy z całej Polski, nie mieściliśmy się w domu zakonnym na Wieniawskiego. Zorganizowano więc autokar i pojechaliśmy do Krzydliny. Od tego czasu jeździłem tam dwa razy w roku. Na koniec każdej „powołaniówki” rozdawano kartki z napisem: „Chciałbyś być kapłanem czy bratem zakonnym? Czy może się jeszcze nie zdecydowałeś?”. Ja zawsze zakreślałem, że się nie zdecydowałem. Bardzo miło wspominałem czas tam spędzony, bo poznałem wielu klaretynów, jednakże poważnie nie myślałem jeszcze o wstąpieniu do zgromadzenia. Kiedyś wracając z jednej z „powołaniówek”,

